

The title is surrounded by decorative floral elements. On the left, a branch with leaves and a cluster of small flowers curves upwards. On the right, a similar branch with a larger flower head curves downwards. The text is centered between these elements.

Rubínový
krag
Kronika kravi

W serii

Akademia wampirów:

AKADEMIA WAMPIRÓW
W SZPONACH MROZU
POCAŁUNEK CIENIA
PRZYSIĘGA KRWI
W MOCY DUCHA
OSTATNIE POŚWIĘCENIE

W serii

Kroniki krwi:

KRONIKI KRWI
ZŁOTA LILIA
MAGIA INDYGO
SERCE W PŁOMIENIACH
SREBRNE CIENIE
RUBINOWY KRĄG

RICHELLE MEAD



Rubinoowy
krąg

Kroniki krwi
świat Akademii wampirów

Przełożyła
Monika Gajdzińska

NASZA KSIĘGARNIA

Tytuł oryginału angielskiego
The Ruby Circle

Copyright © 2015 Richelle Mead

© Copyright for the Polish edition
by Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2016

Cover design by Lindsey Andrews
Cover photograph copyright © 2013 Michael Frost

*Dla Yvonne i Dona,
którzy codziennie przeżywają swoją miłość*



ROZDZIAŁ I

Adrian

NIE TAK WYOBRAŻAŁEM SOBIE ŻYCIE MAŁŻEŃSKIE.

Nie zrozumcie mnie źle – wybrałem właściwą kobietę. Kocham ją bardziej, niż można to sobie wyobrazić. Ale życie we dwoje... Cóż, nie miało nic wspólnego z moimi oczekiwaniami. Dawniej snuliśmy fantazje na temat egzotycznych miejsc, w których moglibyśmy zamieszkać w poczuciu absolutnej wolności. W żadnym z naszych planów ucieczki nie pojawiał się jednak wątek uwięzienia w ciasnym mieszkanku. Ale ja nigdy się nie poddam w obliczu wyzwania.

– Co to jest? – spytała Sydney, wychodząc z łazienki.

Zaskoczyłem ją.

– Wszystkiego najlepszego z okazji naszej rocznicy – odpowiedziałem.

Gdy brała prysznic, przeobraziłem nasz salonik, co nie było łatwe w tak krótkim czasie. Sydney jest oszczędna, również w kwestii zużywania wody do kąpieli. Co do mnie... Zwykle tkwię w łazience tak długo, że pokój można by w tym czasie całkowicie zdewastować i umeblować od nowa. Sydney dała mi zaledwie szansę na udekorowanie wnętrza świeczkami i kwiatami. Ale się udało.

Na jej twarzy pojawił się nieśmiały uśmiech.

– Minął ledwie miesiąc.

– Nie mów „ledwie” – zachnąłem się. – To wielkie wydarzenie. Musisz wiedzieć, że zamierzam świętować każdą miesięcznicę do końca naszego życia.

Teraz uśmiechnęła się szeroko, muskając palcami płatki kwiatów wazonie. Poczuliem żal. Zapomniałem już, kiedy ostatnio tak szczerze się uśmiechała.

– I nawet zdobyłeś piwonie. Jakim cudem?

– Cóż, mam swoje sposoby – oznajmiłem z dumą.

Których raczej nie powinna poznać – usłyszałem w myślach ostrzegawczy głos.

Sydney spacerowała po pokoju, oceniając moje starania, które obejmowały także butelkę czerwonego wina i pudełko czekoladowych truflii na kuchennym stole.

– Nie za wczesna pora? – spytała, żeby się podroczyć.

– Zależy od punktu widzenia – odparłem, skinąwszy głową w kierunku okna. – Dla ciebie technicznie jest wieczór.

Jej uśmiech nieco przygasł.

– Szczerze mówiąc, straciłam rachubę czasu.

Nasz tryb życia daje jej się we znaki – ostrzegął głos w mojej głowie. *Wystarczy na nią spojrzeć.*

Nawet w słabym świetle świec mogłam dostrzec u Sydney oznaki stresu. Miała podkrążone oczy. Ostatnio wyglądała na zmęczoną, choć sądziłem, że w rzeczywistości to przygnębienie. Była jedynym człowiekiem mieszkającym na królewskim dworze morojów, który nie służył nam jako karmiciel. I również jedynym człowiekiem w cywilizowanej społeczności morojów, który wstąpił w związek małżeński z jednym z nas. Postępując tak, zgorszyła swój lud i skazała się na życie z dala od przyjaciół i rodziny (w każdym razie tej części, która przynajmniej wciąż się do niej odzywała). Pogardliwe spojrzenia, jakie posyłało jej na królewskim dworze, skłaniały Sydney

do izolowania się, zawężając jej świat do rozmiarów naszego mieszkanka.

– To jeszcze nie wszystko – rzuciłem pospiesznie, żeby zająć czymś jej uwagę. Wcisnąłem guzik i z głośników popłynęły dźwięki muzyki klasycznej. Wyciągnąłem do niej rękę. – Nie zatańczyliśmy na naszym weselu.

Znów się uśmiechała. Ujęła moją dłoń i pozwoliła się przyciągnąć. Tańcząc, uważałem, żeby nie otarła się o którąś z płonących świec. Spojrzała na mnie z rozbawieniem.

– Co ty wyprawiasz? To jest walc. Tańczy się go na trzy. Nie słyszysz? Raz, dwa, trzy, raz, dwa, trzy...

– Serio? Więc to jest walc? Hm. Wybrałem ten kawałek, bo brzmiał szlachetnie. Nie mamy swojej piosenki. – Zastanowiłem się nad tym, co powiedziałem. – Wygląda na to, że w tej kwestii nawaliliśmy oboje.

– Jeśli tylko w tej kwestii, to nie jest z nami tak źle – zachnęła się.

Tańczyliśmy dłuższą chwilę, gdy nagle wypaliłem:

– *She Blinded Me With Science*.

– Co takiego? – zdziwiła się.

– To mogłaby być nasza piosenka.

Parsknęła śmiechem, a do mnie dotarło, że już dawno nie słyszałem tego kawałka. Poczułem jednocześnie smutek i radość.

– Cóż – odparła. – To chyba lepsze niż *Tainted Love*.

Teraz roześmialiśmy się oboje. Sydney oparła policzek na mojej piersi. Pocałowałem ją w czubek złotowłosej głowy, wdychając zapach mydła zmieszanego z zapachem jej skóry.

– Czuję się winna – powiedziała cicho. – Jestem szczęśliwa, podczas gdy Jill...

Na dźwięk tego imienia znów ścisnęło mnie w piersi. Fala gęstego mroku zawisła nade mną, dławiąc krótką chwilę radości, którą udało mi się wywołać. Z trudem odepchnąłem

ciemność i jeszcze raz cofnąłem się znad krawędzi przepaści, gdzie ostatnio zbyt często przebywałem.

– Odnajdziemy ją – szepnąłem, mocniej przytulając Sydney. – Gdziekolwiek jest.

Jeśli wciąż żyje – wewnętrzny głos był bezlitosny.

Powiniennem wyjaśnić, że ten głos rozbrzmiewający w mojej głowie to nie efekt mentalnego treningu. Był bardzo natarczywy i należał do mojej zmarłej ciotki Tatiany, poprzedniej władczyni morojów. Głos był złudzeniem, objawem obłądki, w który powoli popadałem na skutek praktykowania rzadkiej odmiany magii. Wystarczyło zażywać leki, żeby go uciszyć, ale wówczas pozbawiłbym się również magicznych zdolności. Nie mogłem sobie na to pozwolić teraz, gdy rzeczywistość stała się tak nieprzewidywalna. W ten sposób zjawia ciotki Tatiany zamieszkała w mojej głowie. Jej obecność przerażała mnie chwilami; zastanawiałem się, kiedy oszaleję na dobre. Czasami traktowałem ją jako coś oczywistego i to przerażało mnie, jeszcze bardziej. Zaczynałem wierzyć, że jest naturalnym zjawiskiem.

Tymczasem udało mi się zignorować ciotkę i znów pocałować Sydney.

– Odnajdziemy Jill – zapewniłem zdecydowanym tonem. – A na razie musimy zająć się naszym życiem.

– Pewnie masz rację – westchnęła. Widziałem, że próbuje przywołać pogodny nastrój. – Jeśli ten taniec ma nam wynagrodzić brak weselnego, czuję się nieodpowiednio ubrana. Może powinnam znaleźć tamtą suknię.

– Wykluczone – sprzeciwiłem się. – Suknia była fantastyczna, ale wolę cię nieubraną. Właściwie mogłabyś być nieubrana znacznie bardziej...

Pocałowałem ją inaczej niż przed chwilą. Miękkość kobiecych warg podziałała na mnie podniecająco, a Sydney zaskoczyła mnie, odpowiadając równie namiętnie. Ostatnio nie

miała ochoty na zbliżenie i szczerze mówiąc, wcale się nie dziwiłem. Szanowałem to i trzymałem się z daleka... W tej chwili poczułem jednak, jak bardzo brakowało mi jej żaru.

Upadliśmy na sofę ciasno objęci, całując się jak wariaci. Odsunąłem się na moment, żeby jej się przyjrzeć, i zachwyciły mnie te złote refleksy w jasnych włosach i blask brązowych oczu w świetle świec. Mógłbym zatracić się na dobre, podziwiając urodę ukochanej, otoczony miłością. Ta chwila była doskonała, tak romantyczna i upragniona... Dopóki nie otworzyły się drzwi.

– Mama?! – wykrzyknąłem, odrywając się od Sydney, jakbym był uczniakiem, a nie dwudziestodwuletnim żonatym mężczyzną.

– Witaj, skarbie. – Mama weszła do pokoju energicznym krokiem. – Dlaczego pogasiliście światła? Ponuro tu jak w grobie. Wyłączyli prąd? – Zapaliła lampy i oboje z Sydney musieliśmy zmrużyć oczy. – Już jest. Nie trzeba było zapalać tylu świec. To niebezpieczne. – Skwapliwie zdmuchnęła kilka za jednym zamachem.

– Dzięki – bąknęła Sydney bezbarwnym tonem. – Miło wiedzieć, że tak poważnie podchodzisz do zasad bezpieczeństwa.

Wyraz twarzy żony przypomniał mi pewien incydent. Moja matka, jak zwykle „pomocna”, poodklejała fiszki z książki, nad którą Sydney spędziła wiele godzin, sporządzając notatki. Jej zdaniem uporała się w ten sposób z „bałaganem”.

– Miałaś wrócić dopiero za parę godzin – zacząłem znacząco.

– Tak, ale sytuacja na sali karmicieli stała się nie do wytrzymania. Można by pomyśleć, że wszyscy pójdą na spotkanie rady, ale skąd! Przyszli tam i gapili się na mnie. Nie potrafiłam się odprężyć. Ostatecznie pozwolili mi zabrać jednego do domu. – Matka rozejrzała się dokoła. – A gdzież on się podział? A, tu jest. – Cofnęła się do przedpokoju i po chwili

wprowadziła człowieka tylko trochę starszego ode mnie. Był oszołomiony. – Usiądź na tamtym krześle. Zaraz do ciebie przyjdę – poleciła mu.

Zerwałem się na równe nogi.

– Sprowadziłaś tu karmiciela? Mamo, wiesz, jakie to trudne dla Sydney.

Sydney się nie odezwała, ale zbladła na widok chłopaka. Jego spojrzenie błędziło bez celu, co było skutkiem działania endorfin znajdujących się w ślinie wampirów, które żywiły się jego krwią.

Mama westchnęła z przesadną rozpaczą.

– A co miałam zrobić, skarbie? Nie mogłam pić, podczas gdy Maureen Taurus i Gladys Daszkow plotkowały tuż obok.

– Oczekuję od ciebie odrobiny szacunku dla mojej żony! – wykrzyknąłem. Od czasu gdy się pobraliśmy i poprosiliśmy o schronienie na królewskim dworze, większość morojów – łącznie z moim ojcem – odwróciła się od nas. Mama trwała po naszej stronie, nawet z nami zamieszkała, lecz to nieraz powodowało komplikacje.

– Przecież może poczekać w waszej sypialni – zasugerowała, nachylając się, by zgasić kolejne świece. Zauważyła na stole trufle i przystanęła, by włożyć sobie jedną do ust.

– Sydney nie musi się chować we własnym domu – upierałem się.

– Cóż – odparowała matka. – Ja także nie. To również mój dom.

Byłem tak sfrustrowany, że miałem ochotę wyrwać sobie włosy z głowy. Namiętność uleciała. Wcześniejsza radość Sydney także znikła bez śladu. Moja żona na powrót pogrzyżyła się w poczuciu beznadziejności, jakie musiało towarzyszyć człowiekowi uwięzionemu w świecie wampirów. Choć wydawałoby się to niemożliwe, sytuacja pogarszała się z każdą minutą. Moja matka zauważyła wazon z piwoniami.

– Jakie one piękne – zachwyciła się. – Melinda musiała być ci bardzo wdzięczna za uzdrowienie.

Sydney znieruchomiała w pół kroku.

– Czyje uzdrowienie?

– Nieważne – wtrąciłem pospiesznie w nadziei, że matka zrozumie mój ton.

Daniella Iwaszkow była skądinąd zadziwiająco bystrą kobietą. Tego dnia jednak kompletnie nie zdawała sobie sprawy z tego, co robi.

– Melindy Rowe, dworskiej florystki – wyjaśniła. – Wpadliśmy na nią z Adrianem, kiedy ostatnio wybraliśmy się na karmienie. Melinda miała okropny trądzik i Adrian był tak miły, że przyspieszył proces gojenia. Melinda obiecała mu w zamian zdobyć piwonie.

Sydney odwróciła się do mnie. Wściekłość wyraźnie odebrała jej mowę. Musiałem natychmiast rozładować sytuację, więc chwyciłem ją za ramię i zaciągnąłem do naszej sypialni.

– Pospiesz się! – krzyknąłem do matki, zanim zamknąłem za nami drzwi.

Sydney wybuchła.

– Jak mogłeś? Obiecałeś! Dałeś słowo, że nie będziesz używał mocy ducha, chyba że w poszukiwaniu Jill!

– To drobiazg – uspokajałem ją. – Prawie nic mnie to nie kosztowało.

– Ziarnko do ziarnka! – krzyczała Sydney. – Wiesz, że tak jest. Nie możesz marnować energii na... cudzy trądzik!

Rozumiałem jej zdenerwowanie, ale poczułem się lekko urażony.

– Zrobiłem to dla nas. Na naszą rocznicę. Myślałem, że będziesz zadowolona.

– Będę zadowolona, jeśli mój mąż pozostanie przy zdrowych zmysłach – warknęła.

– Tę granicę dawno przekroczyliśmy – zauważyłem.

Ona nie ma pojęcia, co przeżywasz – podsunęła ciotka Tiana.

Sydney skrzyżowała ręce na piersi i usiadła na łóżku.

– Widzisz? Znowu to robisz. Żartujesz ze wszystkiego. A to jest poważna sprawa, Adrian.

– Nie żartuję. Wiem, na co mnie stać.

Spojrzała mi prosto w oczy.

– Czyżby? Mimo wszystko uważam, że powinieneś zrezygnować z magii. Wróć do pigulek. To najbezpieczniejsze wyjście.

– Mielśmy odnaleźć Jill – przypomniałem jej. – Moja magia może nam się przydać.

Odwróciła wzrok.

– Do tej pory magia nas zawodziła. Nie tylko twoja.

Ostatnie zdanie dotyczyło jej samej. Nasza przyjaciółka, Jill Mastrano Dragomir, została wprowadzona przed miesiącem. Do tej pory nie zdołaliśmy wpaść na jej ślad. Nie umiałem nawiązać kontaktu z Jill w magicznych snach, a Sydney – adepthka ludzkiej sztuki czarnoksięskiej – także nie potrafiła jej zlokalizować za pomocą swoich czarów i zaklęć. Potwierdziła tylko, że Jill wciąż żyje. Ktoś prawdopodobnie podawał dziewczynie narkotyki – w ten sposób można było ukryć ją przed magią ludzi i morojów. Musieliśmy ją odnaleźć. Obojgu nam bardzo zależało na Jill – szczególnie mnie, bo kiedyś sprowadziłem ją na powrót do żywych dzięki mocy ducha. Nie mieliśmy pojęcia, co się z nią dzieje, i strach o nią kładł się cieniem na naszym związku, niweczył nawet krótkie chwile szczęścia, jakie nas spotykały w tym dobrowolnym areszcie domowym.

– To bez znaczenia – odparłem. – Kiedy ją znajdziemy, użyję magii. Nie wiadomo, co będę musiał dla niej zrobić.

– Na przykład wyleczyć z trądziku? – zakpiła Sydney.

Zwisiłem głowę.

– Mówiłem ci, to nic wielkiego! Potrafię zadbać o siebie. Wiem, jak często mogę korzystać z mocy. To nie twoje zadanie o tym decydować.

Zrobiła zdziwioną minę.

– Oczywiście, że moje! Jestem twoją żoną, Adrian. Jeśli nie będę się o ciebie troszczyć, kto to zrobi? Musisz panować nad duchem.

– Dam sobie radę – wycodziłem.

– A cioteczka się odezwała? – spytała, mierząc mnie wzrokiem.

Odwrociłem głowę, nie chcąc patrzeć jej w oczy. Usłyszałem westchnienie ciotki Tatiany.

Nie trzeba było jej o mnie mówić.

Ponieważ milczałem, Sydney podniosła głos.

– Więc tak! To jest chore, Adrian! Musisz to wiedzieć!

Obróciłem się do niej ze złością.

– Dam sobie radę. Jasne? Z nią również sobie poradzę! – wrzasnąłem. – I przestań mi mówić, co mam robić! Nie wiesz wszystkiego, chociaż pragniesz sprawiać takie wrażenie!

Sydney cofnęła się o krok. Ból w jej oczach zranił mnie bardziej niż wypowiedziane przez nią przed chwilą słowa. Poczuję się jak łajdak. Jakim cudem ten dzień zmienił się w koszmar? Miał być idealny. Nagle poczułem, że muszę wyjść. Nie mogłem wytrzymać w tych czterech ścianach ani chwili dłużej. Miałem dość matczynej kontroli. Uczucie, że rozczarowałem Sydney, stawało się nie do zniesienia. Jill również zawiodłem. Oboje z Sydney przybyliśmy na dwór, by szukać schronienia przed naszymi wrogami. Ukrywaliśmy się tutaj, aby być razem. Tymczasem odnosiłem wrażenie, że ta sytuacja może nas rozdzielić.

– Muszę wyjść – oznajmiłem.

Sydney zrobiła wielkie oczy.

– Dokąd?

Przesunąłem ręką po włosach.

– Donikąd. Na świeże powietrze. Dokądkolwiek, byle tu nie tkwić.

Odwróciłem się na pięcie, zanim zdążyła powiedzieć coś więcej, i wybiegłem przez salon, w którym mama piła krew karmiciela. Zerknęła na mnie pytająco, ale ją zlekceważyłem. Opuściłem mieszkanie i szedłem dalej holem budynku dla pałacowych gości. Dopiero gdy znalazłem się na zewnątrz i letnie powietrze owionęło moją skórę, przystanąłem, by zastanowić się, co dalej. Włożyłem do ust gumę, którą żułem w chwilach, gdy bardziej niż zwykle miałem ochotę sięgnąć po papierosa. Odwróciłem się i spojrzałem na budynek. Czułem się winny. Zachowałem się jak tchórz, uciekając w połowie kłótni.

Daj spokój – wtrąciła ciotka Tatiana. *Małżeństwo to trudna sprawa. Dlatego nigdy się na nie nie zdecydowałam.*

Trudna – przytaknąłem. *Ale to nie usprawiedliwia mojej ucieczki. Powinienem tam wrócić. Przeprzić. Muszę znaleźć jakieś wyjście.*

Nie znajdziesz żadnego wyjścia, dopóki będziesz tu tkwił, a Jill się nie odnajdzie – oświadczyła ciotka Tatiana.

W tej chwili minęło mnie dwóch strażników i usłyszałem fragment ich rozmowy. Wspominali o dodatkowych patrolach z okazji spotkania rady. Skojarzyłem, co powiedziała wcześniej matka o tym spotkaniu, i nagle mnie olśniło. Odwróciłem się i ruszyłem pospiesznie w stronę budynku pełniącego funkcję pałacu królowej. Miałem nadzieję, że zdążę.

Wiem, co robić – oznajmiłem ciotce Tatianie. *Wiem, jak się stąd wyrwać i poprawić moje relacje z Sydney. Potrzebujemy jakiegoś celu, do którego będziemy dążyć. Znajdę go. Muszę tylko porozmawiać z Lissą. Jeśli zdołam ją przekonać, naprawię wszystko.*

Ciotka milczała, a ja szedłem przed siebie. Zapadła noc. Ludzie kładli się spać, nastąpiła najlepsza pora dla tych, którzy tak jak ja funkcjonowali według porządku wampirów.

Morojski dwór przypominał typowe zabudowania uniwersyteckie. Stało tam około czterdziestu budynków z cegły rozmieszczonych wokół przepięknie ukształtowanych czworokątnych placów i dziedzińców. Lato było w pełni, powietrze ciepłe i przesycone wilgocią, toteż wiele osób wyszło na spacer. Jedni nie widzieli mnie albo nie rozpoznawali, zbyt pochłonięci swoimi sprawami. Inni spoglądali na mnie z zaciekawieniem.

Zwyczejnie ci zazdroszczą – stwierdziła ciotka.

Nie sądzę – odparłem. Zdawałem sobie sprawę, że rozmawiam z wytworem wyobraźni, ale czasem trudno było mi milczeć.

Oczywiście, że tak. Nazwisko Iwaszkowów zawsze budziło zawzięć oraz podziw połączony z lękiem. Górujesz nad nimi i dobrze o tym wiesz. Za moich czasów taka sytuacja była niedopuszczalna. Ta twoja mała królowa zupełnie nie radzi sobie z dyscypliną na dworze.

Marsz sprawiał mi przyjemność, mimo że szedłem pod ostrzałem ciekawskich spojrzeń. Pomyślałem, że ciągle przebywanie w murach jest niezdrowe – choć nie sądziłem, że kiedykolwiek zdobędę się na podobną refleksję. Powietrze wisiało wprawdzie ciężkie od wilgoci, ale czułem się lekki i odświeżony. W pewnej chwili pożałowałem, że Sydney nie mogła mi towarzyszyć, ale zaraz zmieniłem zdanie. Ona powinna wychodzić w ciągu dnia, gdy świeciło słońce. To jest właściwa pora dla ludzi. Konieczność przestawienia się na nasz tryb życia była dla niej zapewne taką samą udręką jak przymusowe odosobnienie. Musiałem zaprosić ją później na spacer. Słońce nie zabija nas tak jak strzyg, choć nie czujemy się komfortowo w jego świetle. Większość morojów śpi albo pozostaje w do-

mach w ciągu dnia, i gdybyśmy wybrali się na spacer o odpowiedniej porze, Sydney miała szansę nie natknąć się na nikogo.

Na myśl o tym zrobiło mi się raźniej. Wchodząc do pałacu, włożyłem do ust kolejną gumę. Gmach budynku nie różnił się na zewnątrz od pozostałych zabudowań, ale w środku urządzone go z przepychem należnym siedzibie władcy pradawnej rasy. Moroje wybierają swoich królów spośród członków dwunastu arystokratycznych rodów. Wielkie płótna przedstawiające te znakomite postaci zawieszono na ścianach korytarzy w blasku lśniących kandelabrow. Mijałem po drodze wiele osób, a gdy dotarłem do sali posiedzeń, okazało się, że spotkanie dobiegło końca. Wszyscy już wychodzili. Kilku morojów jednak przystało na mój widok. Słyszałem ich szept: „obrzydlivość” i „ludzka żona”.

Nie zwracałem na nich uwagi. W centralnym punkcie sali, tuż obok podestu dla Rady, stała Wasylisa Dragomir – „królowa dziecko”, o której wspomniała ciotka Tatiana. Lissę, jak ją nazywałem, otaczali strażnicy w czarnych garniturach. Byli dampirami: pół ludźmi, a pół morojami, rasą wojowników powstałą przed wiekami, gdy moroje i ludzie mogli swobodnie zawierać związki małżeńskie. Dampiry nie mogą mieć dzieci ze sobą, ale mogą się rozmnażać dzięki związkom z morojami.

Tuż za strażnikami Lissy ustawili się morojscy dziennikarze zasypujący ją pytaniami, na które odpowiadała z anielskim spokojem. Przywołałem powiew mocy ducha, żeby zerknąć na jej aurę. Rozświetliła się na moich oczach. Lissę otaczał złoty blask, znak, że posiadała władzę nad magią ducha, podobnie jak ja. Inne jej barwy jednak przygasły i lekko drżały – oznaczało to, że czuła się nieswojo. Rozproszyłem magię i pospiesznie ruszyłem w jej stronę, machając ręką i usiłując przekrzyżać innych.

– Wasza wysokość! Wasza wysokość!

Jakimś cudem usłyszała mnie w tłumie. Skończywszy udzielać odpowiedzi na czyjeś pytanie, skinęła w moją stronę. Strażnicy rozstąpili się, żeby mnie do niej przepuścić. Wszyscy popatrzyli w naszą stronę z zaciekawieniem tym większym, gdy dostrzegli, kogo Lissa dopuściła tak blisko siebie. Wiedziałem, że oddaliby wiele, by usłyszeć, o czym rozmawiamy. Strażnicy jednak trzymali ich na dystans, a poza tym na sali panował zbyt duży hałas.

– Nie spodziewałam się ciebie. Nie mogłeś się umówić na rozmowę? – spytała, zniżając głos. Na jej twarzy wciąż gościł oficjalny uśmiech. – Uniknęlibyśmy tego całego zamieszania.

Wzruszyłem ramionami.

– Cokolwiek robię ostatnio, wzbudza zamieszanie. Przestałem się tym przejmować.

Rozbawiło ją to i ucieszyłem się, że osiągnąłem choć tyle.

– Co mogę dla ciebie zrobić, Adrian?

– Raczej co ja mogę zrobić dla ciebie – uściśliłem, wciąż jeszcze podekscytowany pomysłem, który przyszedł mi do głowy. – Musisz pozwolić, żebyśmy wyjechali z Sydney na poszukiwania Jill.

Uśmiech zamarł jej na twarzy.

– Wypuścić was? Miesiąc temu błagałeś, żebym pozwoliła wam tu zostać!

– Wiem, wiem. I za to jestem ci wdzięczny. Ale twoja drużyna nie odnalazła Jill. Potrzebujesz odpowiednich osób do zadań specjalnych.

– Jeśli dobrze pamiętam – zaczęła Lissa – oboje z Sydney nie wypełniliście zadań specjalnych ostatnim razem.

– I właśnie dlatego musisz pozwolić nam wyjechać! – wykrzyknąłem. – Wrócimy do Palm Springs i...

– Adrian – przerwała mi. – Czy ty słyszysz, co mówisz? Przyjechaliście tutaj, ponieważ polowali na was alchemicy. A teraz chcesz wrócić prosto w ich szpony?

– To nie tak. Zamierzałem wyjechać stąd w tajemnicy i...

– Nie – znów nie pozwoliła mi dokończyć. – Nie zgadzam się. Mam wystarczająco dużo zmartwień i bez tego. Nie chcę, żeby złapali was alchemicy. Prosiłeś mnie o ochronę i spełnię daną ci obietnicę. Nawet nie myśl o ucieczce, bo nasze bramy są doskonale chronione. Zostaniecie tutaj, gdzie jesteście bezpieczni.

„Bezpieczni i przegrani” – pomyślałem, wspominając zrezygnowane spojrzenie Sydney.

Kochany – szepnęła ciotka Tatiana – *przegrałeś to znacznie wcześniej.*

– Wysłałam świetną drużynę na poszukiwanie Jill – ciągnęła Lissa, podczas gdy ja milczałem. – Mówię o Dymitrze i Rose.

– To dlaczego jeszcze jej nie znaleźli? I skoro ktoś chciał cię odsunąć od władzy, dlaczego nie...

Nie dokończyłem, ale smutek w jadeitowozielonych oczach Lissy wskazywał na to, że wiedziała. Prawo, które usiłowała zmienić, mówiło, że władczyni musi mieć co najmniej jednego żyjącego członka rodziny. Gdyby ktoś chciał się pozbyć Lissy, mógł to osiągnąć, zabijając Jill i pokazując tego dowód. Fakt, że jeszcze do tego nie doszło, dawał nam wiele nadziei, ale potęgował zarazem tajemniczość całej sytuacji. W jakim celu porwano Jill?

– Wracaj do domu, Adrian – powiedziała łagodnie Lissa. – Porozmawiamy później, na osobności, jeśli zechcesz. Może znajdziemy jakieś inne rozwiązanie.

– Może – zgodziłem się, choć bez przekonania.

Wymknąłem się z tłumu gapiów. Idąc, czułem, jak znów ogarnia mnie znany mroczny nastrój. Wybrałem się do Lissy powodowany impulsem, który na chwilę obudził we mnie nadzieję. Szukając schronienia dla siebie i Sydney, nie miałem po-

jęcia, co się przydarzy Jill. Lissa nie kłamała, mówiąc, że posłała na jej poszukiwanie świetną drużynę. Wiedziałem, że pomagali im nawet alchemicy – organizacja, w której dawniej służyła Sydney. Mimo to nie umiałem się pozbyć poczucia winy. Myślałem, że gdybyśmy nie ukrywali się z Sydney, moglibyśmy odnaleźć Jill. Działo się coś, czego jeszcze nie rozumieliśmy. W przeciwnym razie porywacze już dawno...

– No, no, no. Spójrzcie, któż to postanowił pokazać swoją tchórzliwą głębę.

Przystanąłem, mrugając bezradnie. Byłem zdezorientowany. Tak bardzo pograżyłem się w gorączkowych rozmyśleniach, że nie zauważyłem, jak pokonałem połowę drogi, i teraz stałem na kamiennej ścieżce biegnącej między dwoma budynkami. Była to opustoszała boczna dróżka, stanowiąca idealne miejsce na zasadzkę. Wesley Drozdow, morojski arystokrata, który całkiem niedawno stał się moim śmiertelnym wrogiem, zaszedł mi drogę w otoczeniu swoich kumpli.

– Zwykle nie masz takiej obstawy, Wes – rzuciłem spokojnie. – Postaraj się o jeszcze kilku, a może nareszcie będziesz mógł stoczyć równą walkę...

Cios pięścią padł z tyłu i trafił mnie w łędźwie. Straciłem dech, zgiąłem się wpół. Wesley doskoczył do mnie i przyłożył mi prawym sierpowym, zanim zdążyłem się otrząsnąć. Niejasno zdałem sobie sprawę, że moja uwaga była niezwykle trafna: Wesley tylko z pomocą kumpli mógł się zmierzyć z moją magią. Padając na ziemię, gdy któryś kopniakiem podciął mi nogi, zrozumiałem, że byłem głupcem, pokazując się publicznie. Wesley od dawna czekał na okazję, żeby się odegrać. Sam mu jej dostarczyłem.

– Co jest? – spytał, wymierzając mi kolejnego kopniaka w brzuch, gdy usiłowałem się podnieść. – Twoja żona karmicielka nie przybędzie na ratunek?

– Właśnie – zadrwił ktoś inny. – Gdzie twoja ludzka dziwka?

Bolało tak bardzo, że nie mogłem wydobyć z siebie słowa. Niezliczone kopniaki posypały się ze wszystkich stron. Widziałem rozmazane twarze. Ze zdumieniem rozpoznałem kilka z nich. To nie byli kolesie Wesleya. Niektórych znałem, imprezowaliśmy razem... Kiedyś uważałem ich za swoich przyjaciół.

Cios w głowę sprawił, że ujrzałem gwiazdy i już nie rozpoznawałem twarzy wokół mnie. Głosy zlały się w kakofonię bełkotliwych dźwięków. Padały kolejne razy. Zwinąłem się w kłębek, usiłując odzyskać oddech. I nagle dobiegł mnie wyraźny głos.

– Co tu się dzieje, do cholery?!

Zamrugąłem, próbując skupić wzrok. Ktoś odciągnął gwałtownie Wesleya, który osunął się po murze pobliskiego budynku. Chwilę później trzej kumple Drozdowa podzielili jego los, zanim zorientowali się, że coś się święci. Wycofywali się niczym przerażone owce. Zobaczyłem przed sobą znajomą twarz. To był Eddie Castile.

– Może któryś chce się jeszcze bić? – wychrypiałem. – Wciąż macie przewagę liczebną.

Nieważne, ilu ich było, nie mogli równać się z Eddiem i o tym wiedzieli. Nie widziałem, jak uciekali, ale z satysfakcją to sobie wyobraziłem. Zapadła cisza i zaraz potem ktoś pomógł mi wstać. Odwróciłem się i ujrzałem inną znajomą twarz. Neil Raymond podtrzymał mnie swoim ramieniem.

– Możesz iść? – spytał z lekkim brytyjskim akcentem.

Skrzywiłem się, bo zaboląła mnie stopa, ale przytaknąłem.

– Taa. Chodźmy do domu. Potem sprawdzę, czy nic sobie nie złamałem. I dziękuję – dodałem, gdy Eddie podparł mnie z drugiej strony. – Miło wiedzieć, że moroj w opałach może liczyć na dyskretną ochronę szlachetnych rycerzy.

Eddie pokręcił głową.

– Znaleźliśmy się tu przez przypadek. Szliśmy przekazać ci najnowsze wieści.

Przebiegł mnie dreszcz. Przystanąłem.

– Jakie wieści? – spytałem bez tchu.

Po twarzy Eddiego przemknął uśmiech.

– Spokojnie, to dobra wiadomość. Tak sądzę. Tylko niespodziewana. Macie z Sydney gościa przy bramie frontowej. To człowiek.

Tego się nie spodziewałem. Wychodząc za mnie i prosząc o schronienie u morojów, Sydney odcięła się od większości znajomych ludzi. Dziwne, że któryś przyjechał tu do niej. Z pewnością żaden z alchemików. Odprawiono by go z kwitkiem.

– Kto to jest? – spytałem.

Eddie wyszczerzył się w uśmiechu.

– Jackie Terwiliger.

Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA Sp. z o.o.
02-868 Warszawa, ul. Sarabandy 24c
tel.: 22 643 93 89, 22 331 91 49
faks: 22 643 70 28
e-mail: naszaksięgarnia@nk.com.pl

Dział Handlowy
tel.: 22 331 91 55, tel./faks: 22 643 64 42
Sprzedaż wysyłkowa
tel.: 22 641 56 32
e-mail: sklep.wysylkowy@nk.com.pl www.nk.com.pl

*Książkę wydrukowano na papierze
Creamy Hi Bulk 53 g/m² wol. 2,4.*

Redaktor prowadzący *Katarzyna Lajborek*
Opieka redakcyjna *Joanna Kończak*
Korekta *Zofia Kozik, Katarzyna Nowak, Jolanta Karaś*
Opracowanie DTP, redakcja techniczna *Joanna Piotrowska*

ISBN 978-83-10-13015-0

PRINTED IN POLAND

Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2016 r.
Wydanie pierwsze
Druk: EDICA Sp. z o.o., Poznań